# TAJEMNICE BROAD PEAK MOUNTAIN (8047 m)

## Relacja z wyprawy zimowej na Broad Peak 2010-2011

**DLACZEGO ZIMĄ?**

Polacy po II wojnie światowej nie mieli szans na swobodną eksplorację gór najwyższych. Obiecujący przedwojenny rozwój polskiego himalaizmu został zamknięty za żelazną kurtyną. W latach 60. ubiegłego stulecia wszystkie 14 ośmiotysięczników miało już swoich pierwszych zdobywców, wśród których niestety nie ma żadnego Polaka. Jedynie Jerzy Hajdukiewicz przyczynił się do zdobycia Dhaulagiri (8167 m) przez wyprawę szwajcarską, której był lekarzem.

Edmund Hillary (pierwszy zdobywca Mount Everest – 8848 m) twierdził, że przetrwanie zimą powyżej 7000 m jest niemożliwe. Polacy przełamali tę barierę. Nie mieliśmy szans być pierwszymi w sezonie letnim, więc rzuciliśmy wyzwanie zimie. Początek tej drogi to zdobycie w 1973 r. przez Andrzeja Zawadę i Tadeusza Piotrowskiego najwyższego szczytu Hindukuszu Afgańskiego – Noszaka (7492 m) oraz pierwsze wejście na Everest zimą w 1980 roku przez Krzysztofa Wielickiego i Leszka Cichego. Powstała nowa dyscyplina – himalaizm zimowy – przez wielu nazwana „sztuką cierpienia".

Obecnie dziesięć z czternastu ośmiotysięczników ma już swoich zimowych zdobywców. Osiem z nich jako pierwsi zdobyli Polacy. Ostatni „polski" zimowy szczyt to Shisha Pangma zdobyta przez Piotrka Morawskiego w 2005 roku, po 17 latach przerwy w sukcesach polskich lodowych wojowników. Pozostały jeszcze cztery dziewicze zimą ośmiotysięczniki (K2 8611 m, Nanga Parbat 8126 m, Gasherbrum I 8068 m i Broad Peak 8047 m). Międzynarodowa konkurencja rośnie. Na Makalu (8463 m) i Gasherbrumie II (8035 m) wyprzedzili nas koledzy z Kazachstanu, Włoch i USA. Trzeba się spieszyć, by zdążyć przejść do historii...

**PROJEKT 2010-2015**

W listopadzie 2009 roku powstał projekt *Polski Himalaizm Zimowy 2010-2015*, którego głównym założeniem jest mobilizacja młodego pokolenia polskich wspinaczy i zdobycie pozostałych niezdobytych jeszcze „ósemek" zimą. Twórcą projektu jest Artur Hajzer, himalaista, właściciel firmy HiMountain, który w 1987 roku wraz z Jerzym Kukuczką zaliczył pierwsze w historii zimowe wejście na Annapurnę (8091m). W ramach projektu planuje się organizację dwóch wypraw rocznie – wiosennej lub jesiennej oraz zimowej. Ekspedycje w sezonie wiosennym lub jesiennym mają mieć charakter treningowy oraz

być rekonesansem na ośmiotysięcznikach niezdobytych dotąd zimą. Główny cel to wyprawy zimowe.

Wiosną 2010 roku minister sportu i turystyki Adam Giersz poparł projekt i udzielił finansowego wsparcia na rok 2010. Głównymi sponsorami akcji są Ministerstwo Sportu i Turystyki, Fundacja Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki oraz HiMountain.

**SELEKCJA ZESPOŁU**

Warunkiem uczestnictwa w projekcie jest posiadanie wykazu przejść zawierającego wspinaczki zimowe w Tatrach oraz zdobycie przynajmniej jednego siedmiotysięcznika. W ramach projektu, wiosną 2010 roku, zorganizowano wyprawę treningową na Nanga Parbat. Nagą Górę zdobyło 3 uczestników. We wrześniu 2010 roku kolejna selekcja odbyła się na najwyższym szczycie Kaukazu – Elbrusie (5642 m). Tam zmierzyliśmy się głównie z Rosjanami w corocznych zawodach „Bieg na Elbrus". Przewyższenie 3000 metrów najszybciej pokonali wśród kobiet Ola Dzik i wśród mężczyzn Andrzej Bargiel. Dystans z wysokości 2700 m na 5600 m zajął im odpowiednio 3 godziny 23 minuty i 5 godzin i 4minuty. Rekord Kazacha Denisa Urubki został pobity o pół godziny!!! Potencjał w narodzie jest.

**PRZYGOTOWANIA PRZEDWYPRAWOWE**

Na Nanga Parbat wykrystalizował się zespół. Trzeba było jeszcze podjąć decyzję, gdzie ruszymy zimą 2010-2011. Wybór padł na Broad Peak (8047 m), ośmiotysięcznik leżący w Karakorum w Pakistanie. Już raz tam byłem z Arturem Hajzerem zimą 2008/2009 roku. Akcję górską skończyliśmy wówczas na wysokości 7000 m. Tym razem liczny zespół miał silniej przeciwstawić się kaprysom aury i jak „konie po betonie" wbiec na szczyt. Rozpoczęły się zatem przygotowania do trzeciej polskiej, a szóstej w historii, wyprawy zimowej na wciąż niezdobyty Broad Peak.

Zima w Karakorum stawia wysokie wymagania natury organizacyjnej, logistycznej, medycznej, wydolnościowej oraz psychicznej. Tradycyjny transport ładunków przez lodowiec Baltoro za pomocą tragarzy jest w sezonie zimowym prawie niemożliwy. Dlatego około 100 porterów jesienią 2010 r. wyruszyło z ładunkami i pozostawiło je w miejscu przyszłej bazy. Razem z nimi szły dwa jaki, które w bazie zostały zabite, a ich mięso umieszczono w beczkach na lodowcu. Transport reszty ładunków, w tym 200 kurczaków i 2 baranów, odbył się helikopterem. Zamówiono odpowiedni duży namiot bazowy z podwójnymi ścianami tak, by spaliny z palnika kerozynowego nie dostawały się do namiotu wewnętrznego. HiMountain wyprodukował specjalne kombinezony puchowe. Każdy uczestnik zaopatrzył się w ogrzewacze elektryczne do nóg oraz specjalistyczne buty wysokogórskie. Dużo racji mają ci, którzy twierdzą, że himalaizm zimowy to nie sport, ale TRANsport.

Każdy z uczestników przeszedł badania wydolnościowe. W ciągu 6 miesięcy poprzedzających wyprawę wszyscy realizowali profesjonalny trening, układany indywidualnie dla każdego przez Zbigniewa Borka – trenera z katowickiego AWF-u. Cztery treningi wytrzymałości biegowej, po jednym na siłowni i ściance wspinaczkowej – razem 6 treningów w tygodniu musiałem zmieścić między dyżurami na KORze, w pogotowiu oraz pracą ze studentami. Niektórzy mówią, że himalaizm zimowy to sport dla masochistów i jest w tym trochę prawdy. Celem treningu było osiągnięcie wydolności na poziomie VO2max powyżej 60ml/kg/min i większości się to udało. Zimą trzeba się wspinać szybko, ponieważ dzień jest krótki, a temperatura nie pozwala na akcję w nocy. Trening był również (w mniejszym zakresie) kontynuowany w bazie w czasie przeczekiwania 2-3 tygodniowych okresów załamania pogody. Na wysokości 4800 m w jednym z dużych namiotów zorganizowaliśmy ogrzewaną salę do ćwiczeń. Treningi siłowe przeplataliśmy marszami w kierunku K2 i wspinaczką na lodowcu.

Według doświadczonych himalaistów najważniejsza w górach jest tak zwana „psycha", czyli połączenie odwagi, motywacji, optymizmu (czasami niepoprawnego) oraz hartu ducha. Odporność psychiczna alpinistów jest wprost proporcjonalna do ilości wypraw, wspinaczek i przeżytych sytuacji, w których żegnali się już ze światem „przyziemnym". Ogromne znaczenie ma również zdrowa atmosfera w zespole. Dlatego przed wyprawą spotkaliśmy się na całodniowych warsztatach z psychologiem sportu.

Jako lekarz wyprawy, byłem odpowiedzialny za zabezpieczenie medyczne. Musiałem zadbać o to, by każdy z uczestników był ubezpieczony na kwotę, która w sytuacji zagrożenia życia umożliwi transport śmigłowcem z bazy do najbliższego miasta. Uczestnicy wyprawy zaszczepili się przeciwko WZA A, WZW B, tężcowi, błonicy i durowi brzusznemu. Wszyscy zostali zbadani, zbierałem wywiad pod kątem wystąpienia potencjalnych problemów zdrowotnych na wysokości. Zdjęcie panoramiczne zębów oraz wizyta u stomatologa na 3 miesiące przed wyprawą była obowiązkowa. Zdając sobie sprawę z tego, że nie zawsze będę w stanie być tam, gdzie pomoc będzie potrzebna, zorganizowałem jednodniowe szkolenie medyczne. Każdy z kolegów poznał m.in. skład apteczek ratunkowych i obozowych, nauczył się jak zrobić zastrzyk domięśniowy z deksametazonu (lek na wysokogórski obrzęk mózgu) oraz ketonalu, poznał i praktycznie zastosował przenośny worek hiperbaryczny, nauczył się jak postępować w prostych sytuacjach urazowych.

**PLAN BADAWCZY**

Wyprawa na ośmiotysięcznik, szczególnie zimą, to świetna okazja do prowadzenia badań naukowych. Do dziś nie wiadomo, jaka metoda aklimatyzacji na ośmiotysięczniku jest najlepsza. Do wysokości 5500 m każdy zdrowy człowiek jest w stanie się zaaklimatyzować . Powyżej tego poziomu procesy wyniszczenia (deterioracji) zaczynają przeważać nad pozytywnymi efektami aklimatyzacji. Istnieją przynajmniej trzy różne

metody aklimatyzacji. Są one wynikiem wieloletnich doświadczeń alpinistów i Szerpów, prób i błędów, często okupionych życiem, a nie rezultatem analiz naukowych.

Styl oblężniczy to zakładanie kolejnych obozów oraz zabezpieczanie drogi linami poręczowymi. Wspinając się tym stylem, himalaista podczas wyprawy kilkukrotnie wychodzi do góry, a po założeniu kolejnych obozów schodzi na odpoczynek do bazy. Polska zasada mówi o tym, że tylko ten, kto spędził noc w obozie powyżej 7000 m jest dostatecznie zaaklimatyzowany, by po kilkudniowym odpoczynku w bazie atakować szczyt. Styl alpejski to szybka wspinaczka na lekko, zazwyczaj bez zakładania lin poręczowych. Alpiniści wspinają się w kierunku szczytu bez schodzenia do bazy. Poziom ich aklimatyzacji może pozostawiać wiele do życzenia, ale na pewno nie są narażeni na wyniszczenie niedotlenieniem, który dotyczy zdobywających ośmiotysięczniki stylem oblężniczym. Styl mieszany jest preferowany głównie przez Szerpów, wymaga dużej szybkości podczas wspinaczki. Polega on na szybkiej wspinaczce do góry, w celu np. założenia obozu, i powrocie tego samego dnia do bazy. W ten sposób ogranicza się ilość nocy spędzonych na wysokości, a tym samym zmniejsza się wyniszczający wpływ hipoksji na organizm alpinisty. Świat wspinaczkowy wciąż czeka na odpowiedź, który styl jest najbardziej korzystny.

Na zimowej wyprawie na Broad Peak dziewięciu polskich wspinaczy wybrało styl oblężniczy, a dwóch pakistańskich himalaistów działało stylem mieszanym. Jako lekarz i himalaista chciałem dowiedzieć się, czy istnieje określona dawka niedotlenienia (wynikająca z długości oraz wysokości ekspozycji na hipoksję), po której nad pozytywnymi efektami aklimatyzacji zaczną przeważać procesy wyniszczenia. Panel parametrów, które chciałem zbadać, był początkowo dość szeroki, ale życie, głównie z powodów finansowych, boleśnie go zredukowało. Nie udało się zorganizować sprzętu do bezinwazyjnego pomiaru poziomu hemoglobiny we krwi, przenośnego spirometru oraz profesjonalnej wagi do dokładnego pomiaru zmian w składzie ciała. Ostatecznie zabrałem do bazy wagę do pomiaru podstawowych elementów składu ciała, pulsoksymetr oraz pulsometr do badań wydolnościowych (test Astranda, test Harwardzki). Ważenie odbywało się co drugi dzień, test wydolnościowy co 7-10 dni. Codziennie monitorowany był poziom saturacji oraz częstość akcji serca. W początkowym okresie wyprawy stosowałem skalę Ostrej Choroby Górskiej Lake Louise. Wyniki badań wymagają analizy.

**WYPRAWA – PROBLEMY MEDYCZNE**

Podczas wyprawy miałem dwóch poważnych pacjentów. Jeden z kolegów w trakcie wspinaczki do obozu II (6250 m) był bardzo osłabiony. Zdecydowaliśmy więc o zejściu do bazy. Po dotarciu na lodowiec, w wyniku wychłodzenia i wyczerpania energetycznego, alpinista przestał poruszać się o własnych siłach. Początkowo wymagał asysty podczas przechodzenia przez lodowiec. Później zdecydowaliśmy o transporcie na noszach. Po dotarciu do bazy, kolega trafił do ogrzanego namiotu, dostał do picia ciepłe napoje

energetyczne i następnego dnia rano był już w stanie bardzo dobrym. U drugiego kolegi, po około dwóch tygodniach działalności górskiej, pojawiły się cechy zakrzepicy żył głębokich jednego z podudzi. Tego samego dnia, mimo zastosowania dawek leczniczych heparyny drobnocząsteczkowej, pojawiły się objawy zatorowości płucnej – ból w klatce piersiowej, tachypnoe, SaO2 około 60 (reszta alpinistów miała SaO2 około 80). Bazując na tych objawach, zdecydowałem o rozpoczęciu akcji ratunkowej. Po dniu oczekiwania kolega z zatorowością płucną w asyście kolegi, który wcześniej uległ wyczerpaniu i wychłodzeniu, został przetransportowany śmigłowcem do Skardu, a stamtąd do Islamabadu. Po powrocie do Polski, w jednym z katowickich szpitali potwierdzono zatorowość płucną. Po dwóch tygodniach hospitalizacji alpinista w stanie dobrym został wypisany do domu.

**DZIAŁALNOŚĆ GÓRSKA**

Była to jedna z moich najtrudniejszych i najdłuższych wypraw. Na lodowcu Godwin-Austen spędziliśmy łącznie 60 dni. Warunki na Broad Peaku były trudniejsze niż dwa lata temu. Było więcej lodu, a mniej śniegu. Liny poręczowe zakładaliśmy w terenie bardzo eksponowanym albo na lśniących polach lodowych. Teren między obozem II i III to ciągła wspinaczka na przednich zębach lub na krawędziach raków. Liny poręczowe były lekkie, czyli cienkie, w terenie łatwym używaliśmy lin o średnicy 4 mm, w trudniejszym 6 mm. Zjeżdżając po nich w terenie eksponowanym czuło się wytężona pracę nadnerczy.

W bazie wylądowaliśmy 19 stycznia br. Dzięki aklimatyzacji w okolicach Skardu, gdzie wspinaliśmy się na wzgórzach do 4000 m, lot helikopterem na 4800 m (wysokość Mont Blanc) nie skończył się wysokogórskim obrzękiem płuc czy mózgu. Po niecałym miesiącu działalności mieliśmy już założone 3 obozy (I – 5700 m, II – 6250 m, III – 7200 m) i noc spędzoną w „trójce”. Potrzebowaliśmy tylko okna pogodowego na atak szczytowy.

Warunki pogodowe nas jednak nie rozpieszczały. Silny wiatr zniszczył nam dwa razy namioty w obozie II, a z obozu III (7200 m) wywiał dwa z trzech pozostawionych namiotów. Straty w obozach i zmienne warunki pogodowe spowodowały, że z bazy średnio każdy z nas wychodził 6 razy. Podczas wyprawy 7 razy wychodziłem z bazy, z czego 4 razy byłem na wysokości ponad 7000 m.

Drugą połowę lutego oraz początek marca spędziliśmy w bazie, przeczekując załamanie pogody. Wiatr powyżej 100 km/h nie dawał szans na działanie na górze. W końcu prognoza poprawiła się. Nie było to jednak okno pogodowe, ale raczej lufcik. Po to, by zaatakować szczyt ośmiotysięczny, potrzeba kilku dni dobrej pogody. Plan na Broad Peaku był taki: pierwszego dnia dojść z bazy do obozu II (6250 m), drugiego dnia znaleźć się w „trójce” (7200 m), w nocy wyjść w kierunku szczytu, by trzeciego dnia w nocy, po około 24 godzinach akcji wrócić do obozu III, a czwartego dnia zejść do bazy. Na spokojną realizację tego planu potrzeba 4 dni dobrej pogody. My dostaliśmy od losu jeden raz 3 dni i jeden raz 2 dni.

Pierwszy atak przeprowadzony w pierwszej połowie marca nie powiódł się. Wiatr zniszczył obóz II i III . Wyjście musieliśmy poświęcić na naprawę obozów. W obozie III temperatura nad ranem wynosiła minus 45 stopni.

**ATAK SZCZYTOWY**

Po nieudanej pierwszej próbie wróciliśmy do bazy. Byliśmy wyczerpani. Każdy stracił po 4 kilogramy, z czego kilogram według wskazań wagi stanowiła beztłuszczowa masa ciała (mięśnie). Zaczęła się gonitwa z czasem, wiosna zbliżała się nieubłaganie. Po zaledwie 3 dniach odpoczynku przyszła niezbyt korzystna prognoza pogody. By zdążyć przed kolejnym załamaniem, należało wyjść już następnego dnia. Ruszyliśmy tym razem w czwórkę. Trzech Polaków i jeden Pakistańczyk. W dobrej pogodzie dotarliśmy po raz kolejny do obozu III. Pobudka o północy. Na zewnątrz ciemno, a w świetle czołówki padający śnieg, gwiazd nie widać. Według jednej z prognoz trzeciego dnia miało się załamać, według drugiej była szansa na dobra pogodę. Liczyliśmy, że sprawdzi się drugi scenariusz, lecz rzeczywistość nie była nam przychylna. Mimo wszystko rozpoczęliśmy atak „rozpaczy". Krzysiek Starek zakończył działanie na wysokości około 7400 m – był zmęczony kolejnym atakiem, nie zregenerował się i wspinaczka szła mu bardzo ciężko. Marcin Kaczkan zapomniał wpakować do plecaka żeli energetycznych, obawiał się, że wyczerpanie energetyczne go w końcu dopadnie i będzie miał kłopoty z zejściem – zrezygnował na 7650 m. Zostałem z Alim z wioski Sadpara. Po radiowym kontakcie z Arturem Hajzerem, który z bazy widział tylko czarne chmury nad kopułą szczytową, zdecydowaliśmy, że damy sobie szansę i spróbujemy kontynuować atak do brzasku, potem wydłużyliśmy go do godziny 9 rano. Wspinaczka powyżej obozu III nie była tak łatwa, jak się spodziewaliśmy. Twardy śnieg powodował, że w stromym terenie trzeba było wyrąbywać rakami stopnie, które po chwili ginęły zawiane pod śniegiem. Powrót w takim terenie oznaczał schodzenie przodem do stoku, co można porównać do schodzenia po kilkusetmetrowej drabinie z niepewnymi szczeblami.

O 9 doszliśmy do ogromnej szczeliny. Byliśmy zmęczeni, szliśmy powoli. Nie mieliśmy realnych szans na wejście na szczyt i bezpieczne zejście. Ali popłakał się ze sportowej złości. Dwa lata temu byliśmy razem na wyprawie, była to dla nas druga zimowa próba. Doszliśmy do wysokości 7750 m, o 750 metrów wyżej niż ostatnim razem, ale do szczytu brakowało jeszcze 300 metrów, co tam na górze oznaczało 6 godzin do góry i 4 na dół. Szkoda, 300 metrów brakowało do przejścia do historii.

Cieszę się że przeżyliśmy bez szwanku, a góra tam stoi i będzie stała. Do trzech razy sztuka.

**PODZIĘKOWANIA**

Serdecznie dziękuję: wszystkim pracownikom Apteki Uniwersyteckiej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego za profesjonalizm, uśmiech i pomoc w przygotowywaniu aptek wyprawowych; Katedrze Żywienia Klinicznego GUMed za poparcie dla projektu

badawczego; wszystkim pracownikom KOR za trzymanie kciuków i zrozumienie dla mojej pasji.  Polski Himalaizm Wam tego nie zapomni!